Tom IV. Nr. 15.

21. Maja. 1861.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Henryk Walezy, cudzoziemiec,

król polski.

Jak sierota bez ojca, tak została polska ziemia samotna, bez żadnego króla ni potomka królewskiego, skoro pochowali Zygmunta Augusta. Więc kłopot wielki powstał w narodzie kogo by tu królem obrać, bo jak to zwykle w takiej sprawie bywa, *co głowa to rozum*, i każdy swojego rad przekłada nad innych. Owóż chcąc dowiedzieć się przecie, kogo sobie cały naród za pana mieć życzy, zwołał Arcybiskup Gnieźnieński jako najwyższa po królu osoba wielki sejm do Warszawy.

Dopieroż wtedy, oprócz wielu senatorów i radnych panów, jęli się ludzie zjeżdżać z różnych stron polskiej ziemi. Wszystkiemi gościńcami sypało ci się jak z rękawa na pola Warszawskie: tu bogacz w powozie ludzi zbrojnych wiódł ze sobą jak na jaką wojnę; owdzie chudzina sam jeden na niedopasionej szkapce; trzeci znowu szkutą przypływał po Wiśle, gdzieś od dalekiego Gdańska: zgoła, z każdego kąta znalazłeś tam człeka.

Łatwo też wyrozumieć, że przy takiej gromadzie ludu z różnych stron kraju, trudno było o zgodę od razu, zwłaszcza że byli tam i posłowie od różnych książąt i królewiczów cudzoziemskich, którzy tych i owych to podarunkiem, to dobrem sercem na swoją stronę przeciągali. Panowie radni, w wielkiej szopie, naumyślnie do tego zbudowanej, słuchali jednych i drugich i trzecich, i nie było temu końca; aż nareszcie po długich swarach pokazało się, że największa część ludzi chciała mieć na króla, francuzkiego królewicza, co się zwał Henryk Walezy. A skoro też poseł tego Henryka przystał na wszystko, co naród żądał od przyszłego króla, i zaprzysiągł, tak już po tym obiorze zakończyła się cała sprawa. Więc nareszcie wysłali nasi posłów swoich do francuzkiego kraju, żeby tam królewicza Henryka na tron polski zaprosić, i przywieść go ze sobą. Skoro nasi posłowie do Francji zajechali, tak tam bardzo wszystkim było dziwno, że to koło naszych nie tylko bardzo suto i bogato po wierzchu, ale i we środku w głowie nie wióry stolarskie jeno rozum. Boć to nasi mówili do Francuzów ich językiem, a owi do naszych po polsku ani gęby nie umieli otworzyć.

Owóż po długich zaproszeniach i ceregielach, zjechał nakoniec król Henryk do Krakowa. Trudno tu wypowiedzieć jakie świetne było przyjęcie tego króla od narodu polskiego, ile to ludzi zgromadziło się, aby tylko powitać nowego pana! Co tam było konnych co błyszczeli od złota i srebra, a co mieszczan krakowskich pięknie uzbrojonych, i ludu wiejskiego jaka siła, to byś tego nie zliczył.

„O pierwszej w nocy wjechał król bramą florjańską: siedział na białym koniu, który miał siodło złociste. Mieszczanie nieśli nad nim baldachim, jak to noszą nad księdzem w czasie Bożego Ciała; w mieście zaś tyle świec gorzało, żeś prawie mógł szpilki zbierać przy tej jasności. Kiedy król jechał w ulicę co wiedzie do zamku, tedy orzeł polski sztucznie zrobiony na wierzchu bramy, zaczął ruszać skrzydły i głową kiwać, jak gdyby go witał. W bramie zamkowej był drugi orzeł podobny. Król wysiadłszy w zamku poszedł do kościoła, gdzie śpiewano pieśń na podziękowanie panu Bogu, przyczem z armat strzelano, że cały zamek trząsł się od huku.“

Niedługo potem odbyła się okazała koronacja królewska; ale Henrykowi już się jęło tęsknić w naszej ziemi. On sobie myślał, że wlezie między ciemny naród, i będzie mógł broić co sobie tylko zechce; a tu tymczasem król bez narodu nic, bo ani wojny wydać, ani podatków powiększyć bez woli kraju nie mógł. Więc smutno było Francuzowi, i coraz bardziej jął wzdychać do swoich.

Nasi też obierając sobie francuzkiego królewicza zapomnieli znać, że z cudzoziemcem trudna sprawa; że skoro on tej ziemi ukochać nie potrafi, to też i nigdy nią rządzić nie będzie mógł dobrze. To też jak wnet zobaczycie, nie wiele było pożytku z tego króla Henryka.

Pewnego dnia doszła go wiadomość, że brat jego król Francuzów umarł. Tak na tę nowinę zamyślił się nasz Henryk, i już coś nie był spokojny. Przykro mu się zrobiło za rodzinnym krajem, a mozolnego królowania w Polsce było już dosyć dla takiego paniątka francuzkiego.

Więc jednego późnego wieczora zawołał król siedmiu co najwierniejszych dworzan, i tak się do nich odezwie:

— Trudno mi już wysiedzieć w tej Polsce moi mili! Tam w kraju rodzinnym umarł król brat mój, i tron próżny stoi, a ja tu i tak malowanym panem dla Polaków. Siodłajcie konie i uciekajmy ztąd! — zawoła w końcu.

Jak też kazał tak zrobili dworzanie. I późno w nocy wymknęło się ośmiu jeźdźców z krakowskiego zamku, a między nimi Henryk Walezy król polski.

Skoro gruchnęła po Krakowie ta dziwna wieść, że król uciekł z zamku, tak duchem puścił się jeden z znacznych panów, i dogonił Henryka prawie na granicy. Dopieroż tam prosił i zaklinał, aleć to wszystko jak groch o ścianę: ten swoje a tamten swoje, i tak się rozjechali. A Bogiem a prawdą nie było co wiele ubijać się o tego króla, a owszem krzyżyk mu dać na drogę, kiedy mu już tak duszno było w naszej Polsce.

Więc owóż tym sposobem stało się, że ledwie w pięć miesięcy po śmierci ostatniego Jagiellończyka Augusta, był naród polski na powrót bez króla.

Spiewka z dawnych czasów.

Hej w Sandomierskiej ziemi, zielone pagórki,
Oj sieją kwiatuszkami niebiescy Anieli;
Hej ponad modrą Wisłą huczą wodne kurki,
I słonko się przegląda w Wiślanej topieli.
— A czemuż od północy lecą trwożni ptacy,
Lecą trwożni ptacy? —

Żal mi cię złote żytko, co się kłaniasz słonku,
Żal mi cię ty pszeniczko, co już lecisz z kłosa;
Żal mi cię ty ptaszyno, maleńki skowronku,
Straszno tam boży grajku podlatać w niebiosa;
Oj, bo na czystem niebie straszna łuna świeci,
Straszna łuna świeci!

Hej pędzą już poganie w Sandomierskie góry,
Głowniami porzucają i tratują łany;
Hej na ognistym koniu leci wódz ponury,
Od gniewu cały blady, a od krwi rumiany;
Hej lecą, a za nimi śmierć i łuna krwawa,
Śmierć i łuna krwawa.

— A cóż się to tam czerni na tej Łysej górze?
— To klasztor modrzewiowy, stary a bogaty;
— A cóż tam w tym klasztorze na tej Łysej górze?
— Świętego krzyża sztuka i złote ornaty;
Oj, z tego krzyża sztuka, gdzie był Bóg przybity,
Gdzie był Bóg przybity.

Hej kazał wódz ponury złupić klasztor święty,
I cudny okruch krzyża między łupy rzuci;
— Hej, ogień tu podłożyć! — woła wódz przeklęty,
I wnet już straszny płomień z wiatrami się kłóci;
I dym z klasztoru idzie na skargę do Boga,
Na skargę do Boga!

Lecą, lecą pogany z Sandomierskiej ziemi,
I łupów dużo wiezą i wiedą w niewolę;
A czarny gruz za niemi i popiół za niemi,
Już nie poznasz gdzie ugor, gdzie zasiane pole;
Hej wszystko stratowane, cała ludzka praca,
Cała ludzka praca!

Wiezą łupy i krzyża cudny okruch wiezą,
I dojadą z łupami do własnej granicy;
A tutaj wóz przystanął ze świętą grabieżą,
Nadarmo biją konie straszni łupieżnicy;
Hej stoi wóz, a na nim krzyża święte drzewo,
Krzyża święte drzewo.

Więc każe wódz przywołać polskiego rycyrza,
Hej, każe go przywołać z niewolników grona,
I do rąk mu oddaje święte drzewo krzyża:
— Idź złożyć te świętości kędy góra ona,
Gdzie klasztor modrzewiowy pożarły płomienie,
Pożarły płomienie.

I cudo! ruszył z miejsca wóz naładowany,
Ruszyli dalej w pochód przelękli poganie;
A rycyrz idzie z drzewem przez zielone łany,
Gdzie popioły na górze, zasmucony stanie:
Krzyż złożył, i buduje świątynię dla pana,
Świątynię dla pana! —

Grześ z Mogiły.

UCZYNNY CHŁOPEK.

W jednej wsi żył sobie kmieć Walenty Świątyń. Nie miał ci on ani dużo chudoby, ani majątku zaległego, ani jego chałupa nie była pierwsza na wsi, a przecież znali go tam wszyscy od maleńkiego do wielkiego, od dworu do plebanji, a jak się pokazał w święto pod kościołem, to tam każdy czapką ruszał i witał go poczciwie i po chrześcijańsku:

— Witajcie Walenty! co tam słychać? czyście tam zdrowi?—I każdy mu był szczery, bo go lubiono za jego wysługę dla każdego.

A jak pojechał na targ do miasta, to koło niego był ścisk i gwar, bo każdy pchał się do jego wozu, każdy kupił od niego; gdyż on tam na świecie nikomu włosa nie zerwał, ani najmniejszej rzeczy nie ruszył, żeby mu tam kto co na środku drogi albo i na jego stole położył. We wsi nikomu na honor nie nastąpił, na nikogo nic złego nie gadał, cudzych słów złych nie powtarzał — ot był sobie chłopek co się zowie, a jak to mówią i do Boga i do ludzi. Rola jego była najpierwej zorana, a jak zasiał, to na zagonie ani gruzełki nie widać, tak bronami zawłóczył i tak pięknie perz wygrabał. To też kiedy jechał w pole rano, szedł bez czapki bo mówił: *Anioł pański, i kto się w opiekę i kiedy ranne wstają zorze* i inne modlitwy. A każdemu na polu wołał: — Szczęść Wam Boże do roboty!

A jak Walenty kiedy zaszedł do dworu albo na plebanię, to tam nie było rady, jak go tam witali i raczyli i niejedną godzinkę z nim przegadali o różnych rzeczach. Bo jużci tak się należy, że co dobre i poczciwe, to ma wszędzie dobre przyjęcie a co ladaco, to tam nie ma co robić choćby u żyda za piecem. Wartałci też tam Walenty i za sto innych chłopów, co to ani z nieba ani z ziemi, tylko gdzieś siedm mil za piekłem się narodzili. A jaki to rozum u niego? bo jużci ten ma rozum kto dobrze robi, kto na dobre radzi i na dobre prowadzi! A Walenty, jak sobie obrobił w polu, to mu tam nie trza było wiele mówić, ani mu się kłaniać, ani z napitkiem do niego chodzić, tylko posłać i powiedzieć:

— Bądźcie tak dobrzy gospodarzu i wyjedźcie też pomódz to lub owo zrobić — a Walenty już się rusza, już ładuje i już pierwszy na polu. Bo on sobie powtarzał zawsze, co słyszał w kościele z ambony:

— Oddajcie Bogu, co Bogu — a ludziom co ludziom — co tobie miłe, to rób każdemu — tyle człek wart, co zrobi tobie i drugiemu dobrego! Ten ma największy rozum, kto umie drugim najwięcej dobrego zrobić!

A jeźli kto wlazł do jego sieni, to go zaraz przywitał pięknie i pytał:

— A cóż tam powiecie? Może wam co potrzeba? to gadajcie prędko, bobym chciał sobie i drugim co dobrego zrobić.

Czy we dnie, czy w nocy to mu wszystko jedno, jak kto zapukał, albo zawołał, to Walenty już na środku drogi stoi i gada i pyta, jakby to on był tylko jeden dobry na świecie, jakby to on był wszystkim ojcem, a ludzie jego dziećmi. Choć sam nie miał wiele, to też i nie wiele mógł dać, ale co dał i zrobił komu, to dobrą ręką i szczerem sercem, a to najwięcej warte. Bo jużci co prawda, to prawda, ale kto daje krzywą gębą choćby i ćwierć złota, to u Boga jest lichota! Kto daje drzącą ręką choćby i woły, nie będzie miał za to chwały! Kto da nie rad choćby pełną stodołę, to nie masne, ale jałowe! On też rozumiał to dobrze, że ręka daje, a serce kraje — że za serce pan Jezus płaci! Każdemu też był miły i datek jego i każda zapomoga, bo szła prosto z serca Walentego.

Aleć miał tam i Walenty swoje ugryzki! Dał mu pan Jezus nie najlepszą kobietę; była nie zła gospodyni, ale za to łakoma i skąpa. Jak Walenty chciał na lewo, to ona w prawo, jak on tak, to ona inak, jak on co komu dawał, albo robił, to ona wygadywała czego byś i za tydzień nie spisał. Ale Walenty zgadzał się z nią w domu, a poza domem to nie raz cichaczem robił, co tylko mógł dobrego sąsiadom. On sobie pamiętał nauczkę od pana ze dworu:

— Tam źle się dzieje, gdzie mąż płacze a żona się śmieje. Tam nie ma ładu i składu, gdzie mąż z żoną tylko gadu i gadu! Tam gospodarstwo się rozleci, gdzie mąż z żoną tak jak śmiecie!

A jużci to oczywista prawda, że gdzie mąż z żoną nie idą równo tak jak dwa woły w zaprzęgu, to zawsze tam już coś brakuje do świętej zgody małżeńskiej.

Do domu Walentego szli ludziska po wszystko jak do dobrej studni po wodę. To przychodzi sąsiad i mówi:

— Pożyczcie mi Walenty koła, bo mi się moje rozleciało!

A Walentowa zaraz gada, jak pytel we młynie:

— Czy to my kołodzieje czy co? czy tu masz na składzie? —

Ale Walenty wyszedł cicho, zdjął koło i dał sąsiadowi.

To znowu przychodzi kobieta z drugiej chałupy i mówi:

— Pożyczcie mi też ze dwie łyżki soli do jutra.

Na to Walentowa krzyczy:

— A czyś to nie była na targu? czy to do miasta daleko?

Ale Walenty wziął solnicę, namierzył soli dwie łyżki i dał i wyprowadził sąsiadkę mówiąc:

— Nie gniewajcie się na moją babinę, bo ona już tak nawykła do gadania, jak ptak do śpiewania.

To znowu przychodzi sąsiad i rzecze:

— Walenty kumie! pożyczcie mi ćwiartkę zboża.

A Walentowa krzyczy:

— Co mi to za kum, że po wszystko do mnie idzie! Czy ja to hrabina? czy mój dom karczma?

Na to odezwie się Walenty:

— Cicho, cicho matko! Jużci pan Jezus daje nam nie nato

majątek, abyśmy go sami przejedli, ale i drugim podług możności udzielali. Tać to nie przepada u pana Jezusa, on nam to odpłaci tyle dziesięcioro; wszak i ty potrzebujesz pomocy ludzkiej, bo trudno się obejść bez niej, a bez pomocy Boga to ani ruszysz z miejsca. — I wstał, wziął klucz, odemknął kłodkę od skrzyni i dał ćwiartkę zboża, i dorzucił kilka garści do wózka kumowi.

To znowu przychodzi jakiś obcy furman i mówi:

— Pożyczcie mi też mój gospodarzu konia, aby można mój wóz naładowany wyciągnąć do góry, bo mi koń ustał.

A Walentowa gada i gada:

— Czy to u mnie austerja jaka, aby każdy po wszystko przychodził? Co ty za jeden? to przywłoki!

Ale Walenty wyszedł z izby, wypytał podróżnych furmanów, pogadał po ludzku, dał konia i sam pojechał i pomógł.

To znowu przybiegł ze dworu parobek i mówi:

— Czybyście też nie wyjechali pomódz zwieść siano, bo się pan boi, aby go nie zalało do jutra!

A Walentowa mruczy sobie pod nosem i gada po izbie coś niezrozumiałego nikomu. Walenty zaś ani się poskrobał, tylko słowo, i już wóz drabiniasty jedzie na pańskie łąki.

A odjeżdżając powiedział swej babinie:

— Bój się Boga! nie gadaj tyle! toć przecie nasz pan to taki dobry dla nas, utrzymuje nam szkołę, daje ludziom zapomogi, daje leki na choroby, płaci rzetelnie i co tam luda u niego się żywi co tydzień. Toć on nasz najlepszy sąsiad, bo on i poradzi. i pogada i nie raz popłacze nad swoją i naszą biedą! Toć on nam życzy i chce dobrze, tylko ludziska niedobrzy! toć on teraz nam równy, tylko bogatszy od nas. Panowie teraz, to nic innego, tylko najpierwsi i najrozumniejsi gospodarze na wsi! bo mi się na mój głupi chłopski rozum tak zdaje, że panowie wszyscy wyszli kiedyś z prostych chałup chłopskich na panów.

A Walentowa gniewna krzyczy:

— Tobie widać także pańskość w głowie! Pan by zaś był kiedyś chłopem!

A Walenty rzecze spokojnie:

— A jużci pan Bóg stworzył tylko z gliny Adama! A jeżeli kiedyś byli wszyscy równi, jak to dziś jest, to tylko przez rozum i pracę dobrą i sprawiedliwą wyszli chłopi dawni na panów dzisiejszych. Tak nas przecie i w kościele uczą.

I pojechał do dworu, i zrobił swemu panu rzetelnie, sumiennie i z serca, a jak mu pan dziękował i chciał płacić to mówił:

— Co mi tam pan dziękuje i płaci, ta jabym miał tu nie za jedno podziękować i zapłacić! Pan tam zawsze więcej dobrego możesz chłopu zrobić, niż chłop panu, bo masz na to od pana Jezusa i rozum i sposób i więcej chudoby i chleba. — I skłonił się i pochwalił pana Jezusa i odjechał.

Dopiero teraz miał co słuchać, gdy bez zapłaty żadnej do domu wrócił; lecz on spokojny tak do żony mówił:

— Co ty pleciesz kobieto! Mnie pan tylko na godzinę potrzebuje, a ja go potrzebuję na całe życie! I ksiądz i pan i chłop jest potrzebny i muszą się kochać, nawidzieć się, radzić sobie w potrzebie. Pan nam głową i ręką a my mu tylko rękami, a ksiądz uczy nas woli bożej i broni duszę od zaguby! I głowa i ręka i serce i dusza są potrzebne, boby inaczej nie było i ludzi na świecie. —

I to powiedziawszy wyszedł do sąsiada, który zachorował nagle, i tam znowu radził, pomagał i ratował.

Ale na tym świecie nie zawsze odbiera się nagrodę za dobre uczynki. Nie raz pan Jezus daje krzyżyki tym, którzy nie zasłużyli na wyćwiki! A znowu złym lezie oknami i drzwiami do chałupy wszystko dobre, aż im rośnie sadło na ziobrach! Ale to robi pan Jezus na to, aby potem lepiej zapłacić temu, kogo dobrze wypróbował. Najgorzej zaś z ludźmi za życia, bo jak ci owi zapłacą, to ci się oczy wypłaczą, jak ci się odwdzięczą, to ci aż serce i dusza zajęczą.

Tak też stało się i z Walentym Świątyniem! Jak to na wsi bywa! nie raz nieostrożność, albo ktoś podpali i pójdzie z dymem praca cała: tak też i Walentego dotknął pan Jezus wielkim ogniem. A straszny był to pożar, bo nawet jego skąpa i łakoma babina spaliła się do imienia.

Gadali sobie wtedy ludziska tak:

— Już to na wszystko wola boża! Ot wygadywała różności na ludzi, skąpiła, zbierała, żałowała ludziom, i patrzcie! ani jej trumny nie potrza, ani koszuli śmiertelnej, bo tylko kosteczki z niej zostały.

A drudzy gadali znowu:

— Już ta jej nie wielka szkoda, ale ten biedny Walenty, co ten zawinił? co ten komu złego zrobił?

A Walenty nie narzekał na nikogo! Żal bo żal było mu i babiny, z którą miał złe i dobre chwile, a nie mógł zapomnieć tego, że taką okropną śmiercią wziął ją pan Jezus z tego świata, i mówił z płaczem:

— Oby choć była lekko skonała i po spowiedzi świętej, abym choć miał za co ją jako żonę i gospodynię pochować! Oh Boże mój Boże! ale twoja taka wola.

I przyszedł do niego pan z księdzem i tak mówili:

— Walenty, nie płaczcie! my wam damy i drzewa na nową chałupę, i zboża do życia i zasiewu, i krówkę podarujemy i jakoś to znowu będzie; a ludzie wam też pomogą postawić i pokryć chałupinę.

A Walenty na to rzecze:

— Że mi pan dopomożesz, to wiem na pewne, ale aby mi sąsiedzi coś zrobili, to nie wierzę, bo nie masz gorszych ludzi nad niektórych sąsiadów. Oni mi nigdy nic zrobić nie chcieli, choć ja im tyle robił. A jeźli prawda, to mię tylko przez zazdrość spalili. — I zapłakał stary Walenty na tę myśl.

Ale pan pociesza go i odpowie:

— Ot, zdajcie się na pana Jezusa! wy nie zginiecie, dopóki ja żyję; ale cóż myślicie robić z sobą? Do dworu możecie pójść zaraz, tam jest miejsca dosyć i jeść się też co znajdzie, i każę wam uszyć koszulę, abyście się przewlekli, a potem naradzimy się dalej.

Więc podziękował Walenty nieboraczek, bo gdyby nie pan toby był nie jadł dwa dni całe: wszak żaden sąsiad nie dał mu i wody w biedzie, a jak się palił to nikt nie chciał iść ratować i dla tego mu się spaliła i babina i wszystka praca! To też płakał i gadał:

— Co to za ludzie nie raz po tych wsiach niedobrzy! nie

boją się ani Boga ani nikogo, ale kara boża wisi tam nad każdym grzesznym, i spadnie prędzej lub później.

I jak poszedł do dworu, to już mu się nie chciało z tamtąd ruszyć. I raz mówił do pana:

— Proszę pana, ja sprzedam mój grunt, bo na co mi się to przyda? Ja samiutki jak jeden palec, cóż jabym robił na gruncie? Dzieci nie mam, żenić się nie będę.

A pan mu gada:

— A cóż zrobicie z temi pieniędzmi? może myślicie, że bym ja brał co od was za to, że się pożywicie u mnie, albo się przenocujecie?

Na to Walenty odpowie:

— Ja sobie umyślił tak zrobić: Grunt sprzedam, ofiaruję pół pieniędzy na szkołę, na którą i pan i ksiądz daliście także, potem kupię do kościoła jaki piękny obraz, aby była i w domu bożym pamiątka po mnie, a resztę dałbym aby co rok ksiądz odprawił za mnie i babinę moją choć jedną mszę świętą; zaś co zostanie, to będzie na buty i na trumnę. Panu też za to że mnie chowasz dopomogę nie w jednem przy gospodarstwie, dopóki sił stanie staremu.

Na to pan rozrzewnił się bardzo i rzecze:

— O dobry z ciebie człowiek, mój Walenty! Ty masz poczciwe serce do śmierci, za to da ci pan Jezus niebo dla duszy twej zacnej! Ty nie zostawiaj sobie ani szeląga, bo ja tobie dam wszystko do śmierci, a skoro ty ofiarujesz na szkółkę, to będzie po tobie wieczna pamiątka.

I stało się tak, jak uradzili sobie. Umarł potem Walenty; ksiądz mu sprawił pogrzeb jakby jakiemu królowi; stała trumna na katafalku między gromnicami, byli tam księża i panowie, pochowali go pięknie, postawili mu krzyż złoty na grobie z napisem: Tu leży Walenty Świątyń uczynny gospodarz i fundator szkoły. Boże daj mu niebo na wieki!

I uczyły się dziatki w tej szkole i wisiał śliczny obraz w kościele, i odprawiało się nabożeństwo co rok za rodzinę Walentego, a pan Jezus wziął ową dobrą duszę prosto do nieba wysokiego.

Ks. Wojciech z Medyki.

GOSPODARSKA POGADANKA,

O warzywach.

Ksiądz proboszcz powstał z ławy i spojrzał po niebie:

— Ho, ho, miesiączek już wysoko, no, aleć jeżeli wam się jeszcze nie sprzykrzyło słuchać, to wam opowiem do reszty o wszystkich warzywach.

— A prosimy też bardzo jegomościunia — ozwał się Wojciech.

Więc ksiądz proboszcz tak jął dalej rozpowiadać:

— Znacie pewnie *ogórki?* Otóż i one można mieć w porządnym ogródku, ale trzeba pod nie dobrze uprawionej, pulchnej, silnej, i suchej ziemi. Lubią też ogórki dużo słońca i ciepła a gnoju nigdy dla nich nie zanadto. W maju, kiedy już ziemia wyschła, wygrzała się, i kiedy już nie potrzeba obawiać się mrozów: wtedy sadź gospodarzu pestki ogórkowe, a udadzą ci się. Ponieważ atoli ogórki bardzo szeroko się rozpościerają, przeto trzeba zrobić zagonki na dwa łokcie szerokie, przez środek zagonka wzdłuż rowek na dwa do trzech cali, i w ten rowek kładź dopiero zdrowe, jędrne pestki i przysypuj ziemią. Resztę ziemi między tak zasadzonemi ogórkami można też spożytkować na ten przykład pod sałatę, bo nim ogórki się rozpostrą, to sałata wyrośnie i sprzątnie się. Skoro już ogórki poschodzą i rość zaczną, wtedy trzeba je pilnie pleść i na wieczór podlewać, a urosną na podziw.

Ogórki można jeść albo surowe, z łupy obrane i w talarki pokrajane, ze solą i octem czasem ze śmietaną kwaśną, co się zowie *mizerja;* albo też kiszone. Kiszone ogórki trzymać można cały rok, ale najlepsze są w lecie, kiedy panują wielkie upały. Dobra gospodyni powinna mieć wtenczas kiszone ogórki dla męża i czeladzi. Pożyteczna jestto warzywa, bo można ją całe lato zrywać; ledwo dziś jedne oberwiesz, już jutro drugie są nowe. Dobre gospodynie mogłyby przez całe lato mieć ogórki i sprzedawać je w mieście. Za ogórki z jednego zagonka można przez lato niejeden wziąść reński!

Bardzo do ogórków podobne są *banie* czyli *dynie.* Te ja-

rzynę trzeba na żyznej, ciepłej i pulchnej sadzić ziemi. Słońce i świeże powietrze jest jej nieodbicie potrzebne. Najlepiej sadzić banie tak, żeby się mogły rozpościerać na płocie, na parkanie lub tym podobnie. Ponieważ dostają bardzo długie łęty, przeto można je na płotach, na niskich chlewikach rozpościerać, a wiszący owoc ma dostatek świeżego powietrza i słońca, więc nie gnije. Miło wtenczas patrzeć, jak ogromne banie wiszą na płotach albo leżą na niskich dachach. Ponieważ się dadzą wciągać na płoty, przeto nie zabierają wiele miejsca w ogródku i dla tego je w każdym, chociażby najmniejszym ogródku, sadzić można.

W maju sadzą się ziarnka czyli pestki z dyni, które pierwej przez cały dzień w wodzie moczyć trzeba. Po zasadzeniu trzeba je często podlewać, a już co najwięcej to wtedy, kiedy mają owoc, bo bardzo wiele potrzebują wilgoci. Gatunki bań są różne; trafiają się i takie, co koło cetnara jedna z nich waży. Pożytek jest także różny, bo albo jako jarzyna w mleku gotowane, albo też dla bydła, któremu są żyzną i obfitą paszą. Ze wszystkich roślin, które u nas rosną, *bania* czyli *dynia* wydaje największy owoc. Ten owoc jest różnego kształtu i koloru: są banie okrągłe, spłaszczone, podłużne, białe, zielone, żółte i pręgowate.

Zaraz do bań, tak jakby siostry rodzone należą *melony i arbuzy*. Są one mniejsze od bań a większe od ogórków, ale smaczniejsze jak jedne i drugie. Mają bardzo przyjemne mięso i sok, i jedzą się surowo. Melon i arbuz są roślinami z południowych krajów, i dla tego u nas na gruncie się nie udają, tylko je można hodować na grządkach pod oknami, co je ogrodnicy *inspektami* zowią. Na Ukrainie rosną arbuzy i melony na polu.

Kto mieszka blisko jakiego wielkiego miasta a ma ogrodu kawał, ten może zakładać inspekta i hodować w nich arbuzy, melony i wszystkie rychłe warzywa, jak rzodkiewki, sałatę, ogórki. W dobrych inspektach są te nowalje już na wielkanoc, kiedy nawet w ogrodach ledwo się zaczyna pracować. Za mendel tak rychłych ogórków płacą w wielkiem mieście po trzy i cztery cwancygiery. Również dobrze płacą za sałatę i rzodkiewkę z inspektów.

Kto mieszka blisko miasta, powinien także hodować w swoim ogrodzie: *szparagi*, *pory*, *selery*, *rychłe groszki*, *groch cukrowy* i inne delikatne warzywa, ponieważ takowe można dobrze sprzedać w wielkich miastach. Nie będę was dzieci uczył, jak się te warzywa pielęgnują, bo tylko ci mogą się tem zająć, którzy mieszkają blisko miast, a tacy najlepiej zrobią, gdy się tego nauczą od pierwszego lepszego ogrodnika.

Odchrząknął ksiądz proboszcz i tak mówił dalej:

— No, już teraz przyjdę do ostatnich warzyw. Każdemu wiadomo jak jest potrzebna cebula; zda ona sie w każdym domu, a nawet w małych miasteczkach pokupna. Są u nas okolice, gdzie się mieszkańcy tylko z cebuli utrzymują, bo udaje się ona tam nie tylko w ogrodach i przy domu, ale w polu na zagonach. A skoro kto pilnie i bardzo wytrwale chodzi koło niej, to i piękny grosz zebrać mu nie trudno.

Cebula lubi grunt tłusty, dobrze poruszony, z zielska wyczyszczony i wilgotny, ale nie za mokry. Ziemię na cebulę uprawia się już pod jesień; tym końcem trzeba ją skopać jak należy i wygnoić mierzwą dobrze przeleżałą. Po zimie skoro się tylko da w ziemi robić, trzeba nasienie cebulowe posiać i pograbić, a najlepiej żelaznemi grabiami. Gdy cebula wschodzi, trzeba ją często podlewać, a gdy już nieco podrośnie, trzeba ją tam, gdzie za gęsto powschodziła, powyrywać, a posadzić tam, gdzie są próżne miejsca. Przytem wypada ją jak najczęściej pleć i na wieczór podlewać, jeżeli deszcz nie pada. Cebula rość powinna nie w łodygę tylko w korzeń; aby więc wszystko pożywienie szło jedynie w korzeń, trzeba w lipcu łodygi przydeptać. Kiedy się dobrze i pilnie robi, to główki cebuli tak pięknie i gęsto wyrosną, że jedna drugą wysadza. Nie można cebuli prędzej z pola sprzątać, dopiero aż liść zupełnie zżółknie i zwiędnie; za rychło sprzątnięta nie jest trwała.

Chcąc się dochować nasienia cebulowego, trzeba wybrać kilka zdrowych i dużych cebul, i wsadzić takowe na początku maja w dobrze uprawioną i wymierzwioną ziemię. Z tych wyrosną grube i wysokie łodygi, te kwitną, a potem zostaje główka napełniona nasieniem. Łodygi takie trzeba przywiązywać do kołków, aby je wiatr przedwcześnie nie połamał.

Cebula nie jest nasza swojska roślina; sprowadzono ją z *Egiptu*, z owego kraju daleko na wschód i południe, z kąd to Mojżesz żydów na wolność wyprowadzał.

Tu ksiądz proboszcz wziął za rękę jednego z chłopców Wojciecha.

— Powiedz mi — zapytał go łagodnie — co tak uważasz, że do rodzaju cebuli należy, i do niej jest podobne? —

— O, a toć *czosnek!* — rzekł chłopak nie wiele się namyślając.

— Dobrze — zawołał ksiądz proboszcz uradowany. — Tak jest, *czosnek* należy do rodzaju cebuli, i także jest warzywą, którą w ogrodach naszych chodować można. Jest to pożyteczna roślina z powodu swego mocnego zapachu.

Oprócz tych tu warzyw, o których wam opowiedziałem, mamy jeszcze: *pietruszkę*, *marchew*, *groch ogrodowy*, *pieszy i tyczkowy*, wreszcie *chrzan*.

Są to dobrze znajome jarzyny, więc i nie ma co wiele o nich rozprawiać. Ot powiem wam jeno, że tak pietruszka jak i marchew, wymagają gruntu mocnego, pulchnego, a głęboko skopanego, bo im głębiej ziemia uprawiona, tym większy rośnie korzeń. Zaraz po zimie jak najrychlej trzeba je siać, bo późno wschodzą: nasienie rzuca się na wierzch ziemi i przygrabia. Zresztą pielęgnacja tego nie wiele wymaga zachodów; trzeba tylko często z zielska oczyszczać, i podlewać jeżeli jest sucho. Mogą być w ziemi aż do późnej jesieni, bo na mróz są wytrzymałe. Chcąc pietruszkę czy marchew przez zimę przechować, trzeba im nać oberznąć a zostawić tylko mały czubek od spodu, zaś korzeń sam oczyścić, i tak zagrzebać w suchym piasku w sklepie.

Marchew jest najzdrowszą dla ludzi jarzyną, a udaje się nieomal na każdym gruncie; każda więc gospodyni marchew siać może i powinna.

Również bardzo użyteczną rośliną ogrodową jest groch, bo udaje się na każdym gruncie, a dużo wydaje owocu. Potrzeba się tylko postarać o takie gatunki, które najwięcej owocu wydają. Groch ogrodowy nie lubi zimna, i dlatego sadzić go trzeba dopiero w maju.

Ha, wreszcie o *chrzanie* nie mam wam wiele co rozpowiadać. Poczciwa to jarzyna! Rośnie sobie bez kłopotu w każdym kącie, i tyle masz z nim pracy, co wykopać i sprzedać w mieście, lub w domu użyć gdy potrzeba.

Skończył ksiądz proboszcz, a powstawszy z ławki, w te się jeszcze odezwał słowa:

— Otóż opowiedziałem wam tu co najważniejsze rzeczy o wszystkich warzywach. Późno to już teraz, abyście wszystko wypróbowali w ziemi według tych przepisów, a nie łatwo też abyście sobie spamiętali tak doskonale rzecz każdą, jak ja tu wam ją za jedną razą wyłożyłem. Chcąc spamiętać takie przepisy, trzeba sobie to i owo kilka razy przeczytać, a prawie że na pamięć nauczyć. Więc wszystko to co wam tu o warzywach opowiadałem, poślę teraz do „Dzwonka", a on to tam w swoim arkuszyku wydrukuje, i będziecie mieli wygodę, bo skoro na bezrok przyjdzie to i owo zasiać lub zasadzić, to tylko tam zaglądniesz, a już będziesz miał dobrą i zdrową radę.

— Oj! a zróbciesz tak Jegomościuniu — odezwali się Wojciechowie — bo my sobie Dzwonek zapisyjemy, a co Niedziela można tam jedno i drugie przeczytać.

— No, no, już się nie turbujcie, a zostajcie z panem Jezusem! — rzekł wesoło ksiądz probosz, odchodząc do siebie.

— Panu Bogu oddajemy! — rzekli Wojciechowie, i odprowadzili Dobrodzieja aż na drogę do plebanji, i tam jeszcze uściskali kolana, w podziękowaniu za tak pożyteczną gawędkę.

I tą razą dotrzymał ksiądz proboszcz z Bułkowa swojej obietnicy; bo napisał wszystko ładnie co tylko powiedział, i przysłał tu do Dzwoneczka, gdzieśmy też i wydrukowali.

☛ *Jeszcze w marcu dostaliście pierwszy arkuszyk opisania tej naszej polskiej Ziemi. Owóż od tego czasu zaszły inne pilniejsze sprawy, więc się drugi arkusz spóźnił trochę, boć dopiero dzisiaj jest gotowy. Dołóżcież ten arkuszyk pięknie do pierwszego a resztę da Bóg doczekać prędzej już dostaniecie. Zostańcie z Bogiem.*

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.